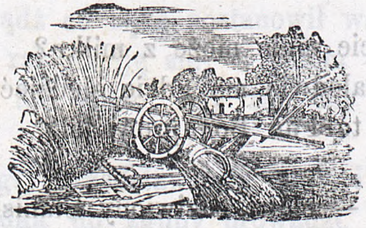
Tom IV. 21. Września 1871. Nr. 9.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Karczma przy drodze.

Wieczorem wracał Stanisław Wicina z jarmarku w Radłowie. Do domu miał jeszcze trzy mile, a tu słonko już zaszło i księżyc na nowiu — ciemno jak w grobie — więc zacinał koniki, aby coprędzej stanąć w chacie. Małgosia, jego żona, i Kasia, córeczka, siedziały w tyle na wozie wśród garnków, kobiałek, koszyków, kukiełek i różnych rupieci, zakupionych w miasteczku. W zanadrzu ściskała Małgosia półtora sta papierków, zawiniętych w szmatkę, za sprzedane wieprze i byczka. Stanisław chciał za nie wybudować nową stodołę dla jedynaczki Kasi, bo stara, choć dla niego wystarcza, nie postoi długo.

— Nie mówiłam ci — odezwała się Małgosia — abyś tak długo się nie drożył ze sprzedażą i na litkup z Wojciechem nie szedł.

— Co ciebie tam obchodzi mój litkup! patrz lepiej na twoje garnki — ofuknął Stanisław — już i tak dawno nie byłem w mieście, toć nie grzech, żem się z sąsiadami zabawił — a zresztą konięta znają drogę jak na pamięć, toby i z zawiązanemi oczyma zaszły.

Umilkła Małgosia — i chwilę jechali nic nie mówiąc.

Wtem głos jakiś obok drogi zawołał: A dokądże jedziecie Stanisławie?

— A juźci do domu — wstrzymując konie odpowiada Stanisław.

— Podwieziecie mnie może z milkę?

— Ot żona zaledwie ma gdzie siedzieć — i koniki zmęczone. A dokądże to Pan Bóg prowadzi?

— Na Wolą.

— Na Wolą? — mówi zdziwiony Stanisław — toć i ja tam jadę Ot kiedy Pan zapłaci dwa papierki, to zawiozę was aż do domu.

— Dwa papierki! — zawołał nieznajomy — toć przecież Stanisławie i wstydby was było tak obdzierać ludzi.

Tymczasem nieznajomy zbliżył się do wozu. Małgosia i Kasia poznały w nim Marcina Brózdę, co to chodził w Tarnowie do szkół — i nuż go namawiać, aby co prędzej siadał, boć to ojciec jego i przyjaciel daleki i człowiek bardzo rzetelny i poczciwy. Ale Stanisław się uparł przy swojem i ledwie za papierka dał się namówić, mimo próśb i nalegań żony. Marcin znów nie mógł się upierać, bo był bardzo zmęczony po trzech milach z Tarnowa; zapłacił Stanisławowi, rzucił zawiniątko na wóz i siadł naprzeciw kobiet. Rozmawiali wesoło to o znajomych, krewnych, o gospodarstwie i zbiorach — to znów Marcin opowiadał im o Tarnowie, o szkołach i naukach, jak go profesorzy kochają za to, że się dobrze uczy, jak się rodzice ucieszą, kiedy go niespodzianie w domu zobaczą.

Byli już przeszło milę za Radłowem i wyjeżdżali z lasu. Niedaleko widać było światło migające i słychać gwar, śmiechy i rozmowy. Wkrótce stanęli przed karczmą. Mnóstwo ludu roiło się w środku, a na podwórzu stało kilkanaście fur. Stanisław stanął.

— Wysiądź Małgosiu i Kasiu — noc ciemna, popasę koniki, zabawimy się z znajomymi — może się tymczasem rozwidni.

— Nie plótłbyś plotek Stanisławie — ozwie się Małgosia — wiesz, że miesiączek na nowiu, to do rana będzie ciemno — a nie pamiętasz, jak to przed kilku laty przysięgałeś przed ołtarzem, że już więcej żadnego trunku do ust nie weźmiesz.

Ale Stanisława, który już i na jarmarku złamał tę przysięgę, jakieś licho ciągnęło do karczmy, a choć głos sumienia powiadał mu że źle robi — że już 6 lat nic nie pił, więc

i teraz obejść się może — toć on uczuwał jakiś osobliwszy smak w wódce i bądź co bądź postanowił wstąpić do karczmy.

Dziś ostatni raz napiję się, a potem nigdy. Już i tak złamałem ślub — toć jedno, czy raz czy dwa — Pan Bóg przebaczy.

— Nie pomogły przedstawienia żony, i Marcina który mu opowiadał, że wódka do zguby prowadzi, że kto się raz odzwyczaił od picia, nie powinien już przytykać kieliszka do ust, ani nawet popatrzeć na karczmę, bo tem silniejsza bierze go pokusa, i może potem całe życie tego żałować.

Stanisław odpowiedział dumnie: Mnie tam starego uczyć nie potrzeba — wiem co robię i co chcę. Chodź ze mną lepiej Marcinie — napijemy się po przyjacielsku.

— Dziękuję za zaprosiny, ale do karczmy nie wstąpię.

— To już się brzydzisz nami — mówi Stanisław.

— Broń Boże! brzydzę się wódką, która ludzi do nieszczęścia prowadzi; zresztą, aby was przekonać, wstąpię — pić jednak nie będę, chyba piwa szklaneczkę.

Już i znajomi powychodzili z karczmy i nuż zapraszać i prowadzić tak iż Wicina niebawem wraz z rodziną znalazł się w karczmie.

— Wasze zdrowie Stanisławie odezwało się kilku pijaków za stołem. — Oj dawnośmy was nie widzieli kumotrze — jak widzę zhardzieliście nam odkąd wam dobrze się powodzić poczęło — i gardzicie biedniejszymi.

— Macieju toć Wicina bogacz z dziada i pradziada i nie potrzebował się dopiero dorabiać. Zwyczajnie zbijał pieniądze dla Kasi — a teraz kiedy już ma dostatkiem chce i sobie pofolgować.

Wicinę jakby kto aksamitem pogłaskał, tak mu się dobrze zrobiło, że go bogaczem nazywają. Z natury bowiem był dumny i hardy — lubił się chwalić i pysznić swojemi dostatkami. Po ojcu odebrał średni majątek około dwudziestu morgów urodzajnego pola, łąki, kawał lasu, ładny dobytek i budynki gospodarskie. Ale to wszystko poczęło niszczeć i marnieć zaraz w pierwszym roku po ślubie z Małgosią, bo Maciej lubiał hulać i pić chwalić się i pokazać w karczmie. Dopiero gdy bieda poczęła zaglądać do chaty, gdy go przyjaciele opuścili

a nawet wyśmiewali, gdy ksiądz proboszcz co niedziela z ambony ostro nakazywał wstrzemięźliwość i przedstawiał ludkowi ile to biedy, nędzy, nieszczęść a nawet i zbrodni pochodzi z pijaństwa, poruszyło się serce Wiciny i wyrzekł się gorzałki. Prawda, że zrobił to i z dumy, aby się sąsiedzi z niego nie naśmiewali, ale gospodarstwo przy pracy i wstrzemięźliwości pomnażało się widocznie tak że w krótkim czasie Maciej znów zamożnym był gospodarzem.

Przecież nie poprawił się, zupełnie z dawnych grzechów był dumny, nadęty i lubił się chwalić. Małgosia słuchała męża we wszystkiem i choć nie z ochoty ale z nawyknienia chodziła na wesela, chrzciny, jarmarki i odpusty do karczmy.

Podchlebiało to bardzo Maciejowi, że go za wielkiego bogacza uważają, więc postawił na stole pół garnca wódki aby uczęstować znajomych. Kiedy się flaszka wypróżniła napełniono drugą — dalej trzecią i Wicina już wesoło rozmawiać i spiewać nawet począł.

Marcin znudzony na wozie wszedł do karczmy i namawiał Wicinę do powrotu.

— Co tam pleciesz Marcinie przecież dopiero się zabawa zaczęła — lepiej usiądź z nami i napijemy się razem po przyjacielsku.

— Dziękuję Stanisławie—a choć nie ślubowałem, przecież gorzałki nigdy do ust nie wziąłem. — Wiedząc zaś że wszelkie namowy są daremne, usiadł w kąciku, wypił szklankę piwa wyszedł z karczmy zabrał swój tłumoczek i ruszył w drogę do domu.

W karczmie coraz weselej i gwarniej. Wicina ruszył w tany i rzuca w basy garściami krwawo zapracowane grosze, stawia coraz nową butelkę na stole, a żona już dawno wyciągnęła z zanadrza papierki za sprzedany dobytek, aby zapłacić karczmarzowi.

Do Kasi przysunął się jakiś parobczak młody i nuż ją częstować i tańczyć z nią i opowiadać o swojem bogactwie i jak to mu się spodoba ta, że musi iść za niego. Z początku słuchała go uważnie, uśmiechała się mile, opowiadała że jej ojciec da wielkie wiano, ale gdy jej począł mówić grzeszne słowa i coraz więcej ją poić, uciekała do ojca i prosiła go aby wracali.

Parobek jednak umiał sobie zjednać starego. Powiadał mu jakie to on ma gospodarstwo, jak wszystko idzie mu jak spłatka jak to on nie może znaleźć w swojej wiosce dziewczyny coby miała stosowny majątek i wiano. Mówił dalej że słyszał o Wicinie bogatym i tak dobrze się zdarzyło że go spotkał i że przyjdzie w przyszłą niedzielę na zaloty.

Żyd skinął na parobka mruknął mu coś do ucha i na stole stanęła nowa flasza.

— Za zdrowie wasze Macieju!

— Pij zdrów mój zięciu odpowie Stanisław i wychylił następny kielich.

— Oj Kasiu Kasiu nie powiadałem Ci że to przyjdzie i na Ciebie kolej i dostaniesz bogatego chłopa nie takiego jak ten Michał co to zaledwie na kilku morgach siedzi. A nuż poznaj że się z nim lepiej pogadaj, napij się i potańcuj Usluchała ojca — ale gdy ją parobek przy tańcu coraz więcej ściskał i mówił niestworzone rzeczy — wybiegła z karczmy i jak oparzona uciekła na drogę do domu. Słuchała ona każdego kazania, umiała czytać na książce, była pobożna i każde niedobre słowo strachem ją przejmowało. To też i teraz bez upamiętania biegła i biegła, i dopiero kiedy spory kawał drogi uszła, zatrzymała się, rozważyła czy ma wracać czy nie — a wiedząc że ojca trudno wyciągnąć z karczmy postanowiła iść powoli do domu, a może tymczasem ojciec nadjedzie. Już świtem stanęła w chacie a gdy rodziców nie było widać, położyła się i zasnęła.

Wicinowie tymczasem już zupełnie spojeni niezrozumiale jeszcze coś mówili. Około nich stał ów parokek i jeszcze jakiś drugi nieznajomy i dolewali ciągle nowe kieliszki — wreszcie gdy Maciej i Małgosia już ledwie na nogach się trzymali wsadzili ich na wóz i wyprawili do domu. Maciej z początku dość przytomnie chwycił za lejce, jechał blisko jaką milę dobrze, przyśpiewując sobie tylko za wiele — ale wkrótce sen go zmorzył rzucił konie potoczył się na wóz i chrapał obok Małgosi Konięta szły z początku powoli, ale zmorzone głodem, chcąc się napaść na łące zwróciły z drogi i wóz wywrócił się w rów. Maciej uczuł mocne wstrząśnienie — na chwilę otworzył oczy – zdawało mu się że spi obok chaty na przyźbie i że go zmora dusi, obrócił się nieco i zasnął. Małgosia chrapała w najlepsze. Jakżeż

smutne było przebudzenie. Kiedy oboje rano oprzytomnieli — nie było już koni — Małgosia pomacała się w zanadrzu — nie było szmatki: Dla Boga dla Boga|! Boże zlituj się nad nami krzyknęła i zalała się łzami. Pieniędzy nie było. Płakał i Maciej i smutni powrócili piechotą do domu; pożyczyli od ojca Marcinowego konie, bo im nikt inny koników dać nie chciał, przyprowadzili wóz — sprzedali potem krówki aby kupić konięta, wyspowiadali się — ponowili ślub od wódki — i pracowali o poście przez rok — i później już im tak dobrze się nie wiodło.

Ale Maciej nie złamał już nigdy przysięgi — był pokornym i chwalić się odtąd nie lubił.

Zosia.

I.

W cienistym lesie w maju nad rankiem,
Siedzi pod drzewem młoda dziewczyna!
W ciemne warkocze kwiat lilji wpina —
Bo chce być piękną dziś przed kochankiem.
Więc skronie stroi zielonym wiankiem; —
Nad nią iglasta szumi sośnina.

A kraśne były lica dziewczęcia,
W oczach niebieskich błyszczała radość,
Czasem na licu igrała bladość,
Jak smutku chwilka w oczach dziecięcia.
Gwarzyła z sobą... brała w objęcia
Kwiaty, by snom swym uczynić zadość.

Usteczka miała piękne jak korale,
Wstążki wplatała w warkoczów sploty,
I całowała pierścionek złoty;
Była roskoszną i ładną wcale,
W niewinnych marzeń jeszcze zapale
Żyła marzeniem dziwnej prostoty.

„Ach! czemu, rzekła, Staś nie przychodzi,
„Wszak jemu dzisiaj zrywałam kwiatki
„I dlań tak rano odeszłam matki...
„A on mnie widzę naprawdę zwodzi; —
„Może go Zosia już nie obchodzi,
„Może niemiłe Zosine kwiatki.

„Ja wiem, że przyjdzie — bo kocha szczerze,
„I onby nieba przybliżył Zosi,
„On przyjdzie tutaj, Zosię przeprosi...
„Zosia go znowu w kwiecie ubierze,
„Zosia miłości da mu puklerze,
„Bo miłość w ludziach ducha podnosi.

„On jeden tylko z rodzinnej wioski,
„Ojczyznę naszą on jeden broni...
„O! niech go Marja od śmierci słoni,
„I od niewoli Anioł-Stróż boski;
„Niech go ominą nieszczęścia, troski,
„Niech go ma miłość od zdrady chroni!

„Naród tak cierpi w kajdanach Boże,
„Naród co kocha i miłuje Ciebie!
„Zlituj się Stwórco, zlituj się w niebie,
„Bez Twej pomocy czyż stworzyć może
„Wolność i miłość... cierpi w pokorze,
„I silnie wierzy w przyszłość i w siebie.

„Naród zwycięży! bo boża Matka
„Da mu zwycięztwo pod swą opieką,
„Ale ta przyszłość jeszcze daleko,
„Bo w ludzie nie ma poświęceń kwiatka,
„I wiedza bytu jest w ludzie rzadka,
„Jeszcze go kryje ciemnoty wieko!

„A Moskal męczy, zabija ludzi,
„Naród ciemięży i wioski pali,
„I przeklinają wszyscy Moskali!
„Mnie codzień echo wolności budzi,
„Lecz codzień tylko uwodzi, łudzi,
„I codzień słyszę jęki z oddali!

„Boję się i drżę, bo Staś mój w boju,
„Może nie żyje .. lepiej Moskalu,
„Żebyś mnie zabił, bo jabym z żalu
„Umarła tęskna w życia rozstroju,
„Bez mego Stasia i bez spokoju,
„Lepiej mnie zabij wrogu, Moskalu!

„Ach! on nie idzie, choć późna pora...
„Pocóż ja jemu zrywałam kwiatki
„I dlań tak rano odeszłam matki?
„Żegnając, czule wyrzekł z wieczora,
Że przyjdzie rano, tak mówił wczora...
„Może mnie zwodzi i moje kwiatki.

„O precz wy lilje, wy swym oddechem
„Trujecie tęskną dziewczynę biedną,
„Niech wasze lica jak moje zwiędną;
„Wy mnie łudzicie lubym uśmiechem,
„I szczęścia może dalekim echem;
„Ja go mam... Stasia... mą roskosz jedną.“
I odrzuciła lilje z warkoczy,
I wianek prędko zrzuciła z głowy,
I zanuciła tęsknemi słowy
Piosnkę żałobną... i smutnie kroczy
Ku wiosce swojej, łzawe ma oczy,
Ust kolor blady, nie karminowy.

II.

W wiosce na wzgórku kościółka dzwony
Smutnie dzwięczały, płakały rzewnie
Na Anioł Pański organy śpiewnie,
Żałośnie grały — w ich dźwięczne tony
Jakby się wcielił duch rozżalony,
Bo grały smętnie i bardzo rzewnie.

A pod Chrystusa świętą figurą
Klęczała Zosia, błękitne oczy
W błękit niebieski wzniosła przeźroczy
I modliła się... była ponurą,
Jak niebo gdy się osłoni chmurą;
Nie było kwiecia u jej warkoczy.

Modli się biedna, bo przed jej okiem
Od pół godziny wre straszna bitwa,
I nie ustaje krwawa gonitwa;
Walczą powstańcy po nad potokiem,
Ona ich ściga boleści wzrokiem;
Tarczą ich słoni Zosi modlitwa.

Wstała i krzykła: „O! wielki Boże,
„Wioska już cała jednym płomieniem,
„Wszystko się kryje pod grobu cieniem;
„Krwi tylko bratniej jak nocne zorze
„Wstały i gasną, bo wrogów noże
„Ziemię krwią zleją nowym strumieniem.

Jeszcze wre bitwa... „gdzie Staś mój drogi,
„Ja go nie widzę, nie widzę wcale,
„Już go zabili pewnie Moskale...
„A... tam... w tym dymie... próżne me trwogi,
„On żyje jeszcze i walczy z wrogi
„Mężnie, zwycięzko — próżne me żale!

„Tu się zbliżają... czy mnie wzrok łudzi,
„Czy to sen tylko w mojem cierpieniu...
„Nie... to on... tam on w orężów cieniu
„Stoi i męztwem do walki budzi:
„O! dziś mnie wzrok mój wcale nie łudzi,
„Bo go poznałam w cierpień marzeniu.

„Ha! słyszę cięcia Stasia oręża...
„Nieba!.. raniony, twarz jego blada
„I krwią oblana... znów nowa zdrada...
„Nie... nie... on żyje, z chwałą zwycięża;
„O tak! zwycięża, z chwałą zwycięża!"
Wyrzekła z cicha — i martwa pada.

III.

Nad wioską cisza była grobowa —
Po długiej, krwawej z wrogiem gonitwie
Staś był zwycięzcą; nie poległ w bitwie;
Chce być wesołym, lecz jego słowa
Zdradzają boleść... kulę drżąc chowa,
Co pierś przeszyła Zosi w modlitwie.

Tę samą kulę... o niej pieśń śpiewa.
I w lesie czeka lubej nad rankiem,
I grób jej wieńczy liljowym wiankiem
I łzami wspomnień codzień oblewa,
O Zosi powieść mówią mu drzewa,
Więc drzewa stroi liljowym wiankiem.

Rozum utracił po stracie lubej,
Ją widzi wszędzie, w każdej osobie,
I z kwiatkiem lilji łączy się w śluby
Na narzeczonej dziewiczym grobie.

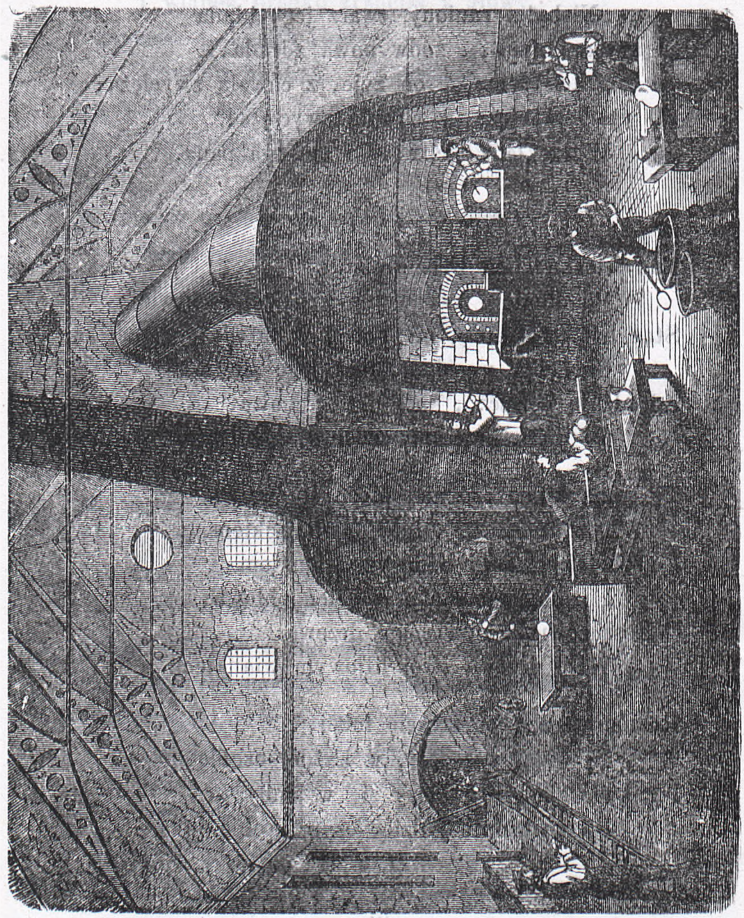
H. i W. o.

Szkło.

II.

Opowiedzieliśmy w przeszłym numerze, jak i z czego się wyrabiają szklanne szyby. Inne przedmioty szklanne podobnie się robią z masy szklannej roztopionej i za pomocą piszczałki, tylko że wtedy robotnik jeszcze wolniej dmucha, a ma przytem różne formy z drzewa wodą pokropione, za pomocą których

taki kształt flaszce lub szklance nadaje, jaki mu się podoba. A są przytem różne sposoby i spryty, których trudno opisywać, i które tylko gdy się je naocznie widzi, dobrze pojąć można. Paciorki szklanne robią z długich rurek szklannych które na małe kawałki krają. Inne znowu rzeczy wylewają we formach umyślnych.



Wnętrze huty szklannej.

Za pomocą różnych dodatków można szkłu nadać barwę rozmaitą, zupełnie wedle upodobania. Można je zafarbować na niebiesko, zielono, czerwono i tp.

Fabryki te gdzie szkło topią, i różne z niego przedmioty wyrabiają, zowią się **h u t a m i s z k l a n n e m i**. Na obrazku podajemy wam wnętrze takiej huty. W tych hutach są piece ogromne, nie przymierzając jak w hutach żelaznych, tylko

zupełnie inaczej urządzone. Piec bywa okrągły, cały zamurowany, i tylko z małemi okienkami okrągłemi, przez które robotnik wsuwa piszczałkę do donicy, roztopioną masą szklanną napełnionej.

Bardzo to ładny i korzystny wynalazek tego szkła, bo też cóż może być przyjemniejszego, jak gdy w izbie jasno, a przytem flaszka i szklanka do niej czysta i przeźroczysta, tak że człowiek widzi co pije. A gdy lata człowiekowi wzrok przytępią, albo też przez ciągłą pracę przy książkach oczy osłabną, to też dopiero człowiek poczuje co to za dobrodziejstwo, gdy przez okulary szklanne patrzy. Miło też szczególniej dziewczętom do lusterka zaglądać i popatrzeć jak się wygląda, a przecież gdyby nie było szkła toby i lusterek nie było. A teraz powiemy pokrótce, jak to szkło wynaleziono.

Bardzo już dawno temu, bo długi czas przed narodzeniem Chrystusa Pana, mieszkał nad morzem śródziemnem, tuż obok kraju żydowskiego (Palestyny), jeden naród, nazwany Fenicjanami. Każdy naród szuka sobie sposoby do życia odpowiednie ziemi, na której zamieszkał. My Polacy, którzy zamieszkujemy prawie same równiny, żywimy się głównie z roli, przeto naród nasz przeważnie jest rolniczym. Czesi, Niemcy i inni więcej już przemysłem i fabrykami się zajmują, gdyż raz ziemia ich nie jest tak żyzną, powtóre w stosunku do wielkiego zaludnienia nie potrafiłaby wszystkich z roli wyżywić. Fenicjanie, którzy wązki kawał ziemi nad samem morzem zamieszkiwali, skazani byli na handel i kupiectwo. W ich kraju, na górach zwanych Libanon rosły wielkie drzewa cedrowe, z tych budowali Fenicjanie okręty, a na tych okrętach towary różnych krajów rozwozili i sprzedawali. Dalekie i długie odbywali po morzach różnych żeglugi, aby kraje nowe odszukać, i z niemi handel prowadzić. Nieraz trafiali na miejsca nie zamieszkane przez ludzi, na piaszczyste pustynie. Tu niebyło komu ich pożywić, przeto często gęsto jedzenie sami sobie w polu gotować musieli

Raz przyjechali na pewien brzeg, gdzie był tylko sam piasek a piasek. Co tu robić? Ani chaty żadnej, ani żywej duszy nie widno, a jeść się chce gwałtownie. Ha, więc trreba jeść gotować. Znieśli trochę drzewa, co było na okręcie, układli, i rozpalili. Przynieśli i garnki, a mieli zwyczaj stawiać

garnki na kamieniach, aby się prędzej zagotowało. Szukają choćby okruszyny kamienia, a tu ani w ząb! Skoro więc nie było na to rady, przynieśli parę brył saletry z okrętu, co ją właśnie wieźli na sprzedaż do innych krajów, a wziąwszy je podłożyli pod garnki i gotują. Nie długo im było czekać, wnet zawrzało; więc utraktowawszy się jak mogli najlepiej na takiej pustyni, jęli się zabierać w dalszą drogę. Aż tu jeden z nich, co był kuchtą, bierze garnki, patrzy, a tu saletra tak się błyska do słońca że aż w oczy razi. Nie było to nic innego tylko szkło, którego się trochę natopiło, a to dlatego, że były razem w ogniu i piasek, i popiół z drzewa, a w końcu i saletra. Owi kupcy nie wiedzieli nic o szkle, bo go wtedy nikt jeszcze nie znał, lecz jak zaczęli się przypatrywać, i brać na rozum, tak wreszcie przyszli na to, że to takie świecące da się umyślnie zrobić. Zaczęli też później przemyślać około tego i jęli robić szkło.

Od nich po całym świecie sztuka ta się rozeszła.

Tomasz Łużecki

w Budzanowie.

Kogo Pan Bóg kocha, tego i ciężko częstokroć doświadcza, powiadają ludzie. Toć Polska nasza odkąd najdawniejsze pisma podają i najstarsi pamiętają ludzie wielkie znosiła nieszczęścia i srogie przechodziła próby. To Niemcy, to Tatarzy, to Turcy, Moskale i Prusacy gnębili i szarpali ją na wszystkie strony. Ale zawsze wsród tych niebezpieczeństw znalezli się ludzie, co ufni w pomoc bożą, własną siłę i męztwo, w obronie ojczyzny i wiary nadstawiali persi, bili dzielnie wroga, nie rozpaczali i w największych nawet nieszczęściach, jakby nam chcieli zostawić przykład w póżne pokolenia, że nasza sprawa, nasza ojczyzna i wiara są święte i żaden ich wróg nie zmoże.

Do takich to ludzi, co zginęli w obronie ukochanej naszej ziemi należy również brat kasztelana podlaskiego, Tomasz Łużecki.

Działo się to za panowania Michała Wiszniowieckiego, króla polskiego w r. 1672. Turcy pod dowództwem swego cesarza czyli sułtana Mahometa IV zdobyli już jedną z naj-

większych warowni polskich Kamieniec podolski i posuwali się ku Lwowu. Nieprzeliczone tłumy pogańskie zalewały krainy wschodnie Polski, a którędy tylko przeszły, tam nie zobaczyłeś ani wioski ani miasteczka, gdyż wszystko wyniszczyły. Główny gościniec od Husiatyna przechodził w blizkości Budzanowa. Milę już tylko ztamtąd rozłożyli się Turcy obozem we wsi Tudorowie, i oszańcowali się na najwyższej górze od strony Kopyczyniec i wysłali zwiady na wszystkie strony, aby przejrzeć całą okolicę. Szańce te do dziś dnia się zachowują, porosły zieloną darniną, a w środku uprawia się i zasiewa pole. Tu dowiedzieli się od swojej jazdy tatarskiej, że jakiś pobliski zamek nie chce się poddać i o obronie zamyśla. Byłto Budzanowski lichy zameczek, gdzie się schronili niektórzy z pobliskiej szlachty i mnóstwo włościan z okolicy z żonami dziatwą i całym dobytkiem. Sądzili oni, że za murami będą bezpieczniejsi, niż w domach i lepiankach, wystawionych na rabunek i pożar.

Zamkniętym w zameczku mieszkańcom dowodził Tomasz Łużecki. Na prędce naprawił okopy zamkowe i kilka już razy na czele walecznych obrońców odpędził tłumy Tatarów, przepowiadających bliskie nadejścia wojska tureckiego, które tędy szło dalej do Polski. Szczęście początkowe i zwycięztwo nad Tatarami tak dalece rozogniły ochotę obrońców, iż pogardzili nawet całem wojskiem tureckiem. Sułtan wysłał z Tudorowa na zdobycie zamku Budzanowskiego armaty i wielki oddział wojska które jednak w krótce ustąpić musiało. Rozżarci Turcy z ogromnemi siłami przybyli pod Budzanów. Nasi walczyli dzielnie ale cóż mogła poradzić mała garstka obrońców w lichym zameczku przeciw krociom tysięcy. Zawstydzili się srodze Turcy że nimi gromadka walecznych pogardziła i postanowili przemocą zdobyć zamek i ukarać zuchwałych. Tłumy piechoty uszykowane w czworoboki zewsząd obstąpiły zamek, armaty wielkie gęsto ustawione na górze od południa zamku wyrzucały tysiące wielkich kul, mur chwiał się od tak silnych pocisków i walił się w kilku miejscach. Do koła dawał się słyszeć ogromny grzmot armat, aż ziemia drzała. Po całym dniu takiej strasznej roboty mury opadły. W tej chwili piechota turecka poczęła wrzeszczeć, krzyczeć i wyć i posuwała się

pędem ku zamkowi. Obleżeni z odwagą przyjęli ją gęstym gradem kul z ręcznej broni i małych żelaznych moździerzy. Ale Turcy nie zważają na straty, nowych żołnierzy wysyłają w miejsce poległych, drapią się po urwiskach skalistych, zajmują okopy zamkowe i zatykają na murach sztandary z pół — księżycem na znak że zamek w ich mocy się znajduje. Łużecki odwagą i przytomnością zachęca swoich walecznych towarzyszy do oporu, wśród największej wrzawy wojennej uderza na pogan, a gdzie tylko błyśnie jego zakrzywiona szablica tam głowa pohańca toczy się w urwisko. Turcy ustępują z wściekłością i nowe wysyłają wojska. Tak przez dwa dni wrzała ustawiczna walka. Turcy zasypywali zamek kulami, ziemia trzęsła się w około, huk rozlegał się po całej okolicy, coraz to świeże wojska pięły się po skale do zamku i coraz wściekłej uderzały na małą gromadkę obrońców, aż dopiero trzeciego dnia garstka walecznych uległa strasznej przemocy i zamek dostał się w ręce Turków; — obrońcy prawie wszyscy polegli, ci co się schronili z rodzinami, częścią zabici, częścią poszli na całe życie w niewolę. Schwytano również i Tomasza Łużeckiego i przyprowadzono przed sułtana tureckiego Mahometa IV. Ten ostro mu wyrzucał że się śmiał opierać potędze tureckiej z 300 ludźmi zaledwie przeciw krociom i rozkazał mu ściąć głowę. Łużecki nie odpowiadał poganinowi, bo mniemał że ten nie godzien jego odpowiedzi. Milcząco i wesoło przyjął wyrok okrutny, pewny że bohaterski czyn jego oddał usługi ukochanej ojczyźnie i że w późne pokolenia będą go wspominać jako przykład waleczności i poświęcenia. Mahomet jakoś nie spieszył się dalej z wojskiem do Polski. Stracił nawet ochotę do wojny, bo kiedy rozmyślił, że tu trzystu tylko walecznych nie zlękło się jego kroci, to cóż poradzi z Polakami i w Buczaczu zawarł pokój z Polską w roku 1672.

I teraz nieprzyjaciele nasi ustawiczną z nami prowadzą wojnę, choć nie armatami i kulami, ale inną bronią, a broń ta: to oświata i przemysł. Codziennie spekulanci i żydzi wykupują grunta włosciańskie i dworskie, biorą od nas wełnę, skóry, łój i inne przedmioty przerabiają je na chusty, podeszwy czapki, świece, przywożą znowu do nas i każą sobie trzy razy drożej za to płacić. Oczywista że my przy takim handlu tracimy,

ubożejemy a oni zyskują i bogacieją. Otóż nauki nam potrzeba a i w tem wkrótce im podołamy, nie damy się i tu pokonać, nie damy się wyzyskać, nie pozwolimy się cudzoziemskim przywłokom bogacić, a tak wypełnim obowiązki względem Polski i względem naszych potomków, którzy nie będą zmuszeni służyć obcym przybyszom.

Rozmaitości.

— Pisaliśmy wam już nieraz w Dzwonku, że astronomowie przez szkła powiększające patrzą na niebo i widzą i dalej i więcej jak okiem. Rurka w której się szkiełka takie znajdują nazywa się lunetą. Otóż zdarzyło się raz, że astronom wraz z kilku znajomymi z wysokiej wieży patrzał na niebo. Żołnierz stał na warcie na dole — a że to takiej lunety nigdy nie widział, więc myślał, że to strzelba wiatrówka i mruknął pod nosem: Ot jaki mi mądry w niebo mu się zachciewa trafić — ale celuje coś długo! Zdarzyło się, że w tej chwili światło zleciało, czyli jak to mówią gwiazda spadła z nieba „A to mi strzelec odezwie się znów żołnierz toć on gwiazdę trafił.!“

— Pan jakiś był rano nader głodny Kazał więc zawołać swego kucharza i zgotować obiad. Ale ten powiedział: Jakto jeszcze nie ma dziesiątej? A cóż mnie to obchodzi — odpowiada pan, że nie ma dziesiątej, kiedy u mnie w żołądku już po południu.

— Złodzieje wkradli się w nocy do zamożnego domu i zabrali wszystkie kosztowności. Wtem nadeszła policya i pyta dokąd te rzeczy niosą. Na to jeden z złodziei odpowiada. Właściciel tej kamienicy umarł i rozkazał nam przed śmiercią przenieść wszystkie rzeczy do innego domu. Jakżeż to może być — mówi jeden z policjantów — kiedy nikt po nim nie płacze. Zaczekajcie tylko do rana odpowiada złodziej, a zobaczycie jakie tu będą krzyki. Istotnie rano bardzo był wielki lament, ale nie z powodu śmierci tylko za skradzionemi rzeczami.

— Gdy król francuski Ludwik jeździł na polowanie, brano zawsze dla niego 40 butelek wina, ale go rzadko pił — raz przecie zawołał o wino. „Nie ma go Najjaśniejszy Panie!“ — odpowiedziano. Jakto — pyta król czyż nie bierzecie zawsze 40 butelek? — Bierzemy, odpowiada pod czasy, ale już wszystkie wypite. „To na drugi raz weźcie 41 butelek, ażeby się dla mnie choć jedna została.„

— Wieśniak jakiś przemycał towary w koszu mającym dno podwójne na wierzchu umieszczał żywe raki i w pokrzywę, i prześlizgał się szczęśliwie, bo w pokrzywę nikt nie lubi wsadzać ręki.

— „Za co pan mnie trzymasz“ krzyczał złodziej, schwytany przez

policjanta na gorącym uczynku. — „Za kołnierz, odparł tenże obojętnie.

— Chłopka powołano raz przed sąd za świadka. Sędzia pytał go: „Czy stawałeś już kiedy człowieku przed sądem jako oskarżony?“ — „A tak“ — brzmiała odpowiedź. — „A byłeś karany?“ — „Nie.“ — „Dla czego nie.“ — „Bo to proszę pokornie pana konsylarza tak było: Ja ukradłem krowę, lecz ponieważ nie mogli mi tego w żaden sposób dowieść, więc wypuścili.“

— Pan jeden polski miał na dworze swoim murzyna. Raz w drodze zajechał do jakiejś wsi na popas. Chłopcy wiejscy obskoczyli zewsząd i przypatrywali się murzynowi, nareszcie poczęli się rozchodzić. Jedni z nich weszli do bliskieko ogrodu w groch chłopu. Murzyn poszedł za nimi. Chłop spostrzegł psotników w swym ogrodzie i począł ich wyganiać. Chłopcy uciekają, a za nimi podnosi się i murzyn. Chłop, który murzyna nigdy nie widział myślał że to był djabeł i przeląkł się mocno i zaczął wołać: nie uciekaj wasze! wolno tobie panie dyable, ja chłopców nie was wyganiam! Tę prostotę chłopską obrócono wkrótce w przysłowie: Wolno tobie panie dyable.

Zagadka.

Czytaj tak,
Albo wspak
Zawsze będzie jeden znak
Zawsze to,
Co jak szkło
Błyszczy, się a duszy dno
Pokazuje,
Znamionuje —
Kto dowcipny niech zgaduje.

Złote ziarna.

Zwodnicza jest postać ciała
Ludzi, przemija i mami;
Pięknej duszy inna chwała
Bo ta zawsze będzie z nami.

Uczęstowanie przyjaciół nigdy nie jest milszem, jak gdy im stawiasz owoc własnej pracy, a to najgodziwsza wystawność i duma najszlachetniejsza.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.

Wydano dnia 30. Października 1871.

Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.